

# Królewiaczy

przez

Artura Gruszeckiego.

8,

— Władziu, czy to ta cukiernia?

— Tak, ciociu, może usiądziemy pod arkadami, świeże powietrze i mamy widok przed sobą.

— Dobrze, Władziu i ja obejmuję rolę gospodyni, jako twoja ciotka, nie sprzeciwiaj się — powiedziała, widząc jego ruch — bo inaczej, idziemy.

— Dobrze, ciociu — a gdy dano chłopcu polecenie, zaczął: — wracając do naszej poprzedniej rozmowy...

— Proszę was, przestańcie o religii, to rzecz osobistych przekonań... powiedz nam raczej Władziu, co to za wielki dom?

— Ten? To Szara Kamienica, z wieku zdaje się XVI, dawniej Zborowskich, z których jeden, Samuel, został ścięty na Wawelu, w pobliżu wieży Lubranką zwanej — a chcąc dokuczyć Irenie, dodał: — zapewne kuzynka czytała o tem?

Poznała się na złośliwości Irena i odpowiedziała skromnie:

— Tak, kuzynie, cokolwiek o nim i Wapowskim i o pani Włodkowej, u której go schwytano; a o Janie Zamojskim czytał kuzyn?

— Kuzynka żartuje, któżby o nim nie słyszał? Żyją nawet jego potomkowie hr. Zamojscy.

— A, to dobrze.

Chłopak przyniósł herbatę dla pań, kawę czarną dla Władysława, który z uśmiechem mówił:

— Biedny ten Mickiewicz, co on też głupstw nasłucha się tutaj?

— Gdzie? — zdziwiła się ciotka.

— Trzeba paniom wiedzieć, że socjaliści po każdym swem zebraniu w *rajtszuli* idą się zaprezentować publiczności na rynek, pochód z czerwonymi chorągiewkami staje przed pomnikiem Mickiewicza i tu dopiero przewodrzy tną mówki, a tłum woła co chwila: „hańba!” — śmiał się.

— I kto mówi?

— Różni... czasem ich prorok Daszyński; ten zrobił karierę na socjalizmie, jest postem w *reichsracie*; czasem jakiś drukarz, czasem żyd. Ja tylko jeden raz byłem świadkiem, a raczej słuchaczem takiej mowy. Z początku byłem oburzony, ale potem śmiałem się głośno z tych głupich frazesów.

— A co mówił? — spytała Irena.

— On nie mówił — śmiał się — on wymyślał! Wymyślał rządowi, starostwu, policji, nawet ministrom.

— I to wolno u was? — zdziwiła się ciotka — nie rozpędzono? nie uwięziono?

— Nie! U nas jest przecież ta niezdrowa wolność, że każdemu wolno na swój sposób bałamucić lud.

— Kuzynie, co więcej mówił?

— Wymyślał, bo to ich taktyka, na wszystkich bogatych, łącąc ich od burżujów, wyzyskiwaczy, pijawek, oszustów — śmiał się — to znana rzecz, że u nich im kto bogatszy, tem gorszy.

— Czyż tak kuzynie? — zarumieniała się.

— Naturalnie, przecież socjalista wyznaje tylko jedną zasadę: ty masz, a ja nie mam, więc oddaj mi swoje, albo pałką w łeb.

— A... wiesz kuzynie, że i żarty mają swoje granice — mówiła Irena oburzona — jak można tak poniewierać ideę, która dąży do usunięcia wyzysku kapitalistycznego, do unormowania płacy i pracy, do uzdrowienia stosunków ekonomicznych!

Spojrzał na nią zdziwiony i zgorszony, a po chwili rzekł tonem surowym:

— Kuzynko, ja słuchałem ekonomii politycznej, znam się na tem i wiem, że system socjalistyczny, prowadzi do ruiny i upadku, niszczy handel i przemysł, a te ich hasła o wyzysku, równości, wolności, to blaga dla zamydlenia oczu naiwnym.

Irena ściągnęła brwi gniewnie, twarz stała się surowa, ale po chwili rozjaśniła się i zawołała ze śmiechem:

— Pozwolisz, kuzynie, że ja zostanę już tą naiwną, a tobie odstępuję zaszczyt mądrości twojej ekonomii politycznej, czy dobrze?

On pobił, zadrgały mu usta, przezwyciężył się jednak i rzekł tonem wyszukanej grzeczności:

— Od kuzynki, zwłaszcza tak ładnej, przyjmuję wszystko, kiedyś przekonasz się, że ja miałem rację.

— Niech i tak będzie — uśmiechnęła się swobodnie.

Czajkowska zapłaciła chłopakowi, a Władysław zaproponował uprzejmie:

— Może zwiedzimy kościół Panny Maryi, to było w planie.

— I owszem.

— Mamo, tak mnie głowa rozbolała, że nie mogłabym korzystać z objaśnień kuzyna... chciałabym do hotelu.

— Dobrze, Irenko... darujesz Władziu.

— Ja jednak odprowadzę panie.

## IX.

Roman z pewnym niepokojem i z uczuciem przykrości szedł do radcy Kotyrskiego. Przypominając sobie wczorajsze poznanie panów radców, zdawał sobie jasno sprawę z pewnego lekceważenia, z jakim go przyjęto i traktowano. Rozumiał, że oni zrobili ustępstwo dla radcy Terlikowskiego, rozmawiając z nim i interesując się znalezieniem posady dla niego.

Wszedł do wielkiej, szarej kamienicy, z wyglądu klasztornej, a dowiedziawszy się od portyera, gdzie urzęduje radca Kotyrski, zapukał do drzwi na pierwszym piętrze.

W pokoju wąskim, słabo oświetlonym jednym oknem, zastał trzech ludzi, z których dwaj pisali, udając wielkie zajęcie, a trzeci, woźny, nudził się na krześle.

— Czy zastałem pana radcę Kotyrskiego? — rzucił pytanie Roman.

Dwaj pisarze pochylili bardziej głowy nad papierami, a woźny, nie ruszając się z miejsca, rzekł grubym głosem:

— Pan radca jest, ale zajęty... a jaki to interes ma pan?

— Prywatny.

— Względem urzędu, czy nie?

— Mój osobisty... może pan zechce mnie zameldować — sięgnął po bilet do bocznej kieszeni.

Posiadanie biletu skłoniło woźnego do powstania z krzesła. Wziął bilet w palce i obracał go, nie zdecydowany, wreszcie spytał:

— Czy pan radca zna pana?

Roman wyjął portmonetkę i wręczając mu kilka dziesiąt halerzy, rzekł:

— Pan radca polecił mi przyjść tutaj.

Woźny skłonił się nisko i podsuwając krzesło zapraszał:

— Niechże pan dobrodzieju spocznie... nie wiedziałem, że pan radca oczekuje jego godną osobę... zaraz idę i zamelduję panu radcy.

Zniknął w drzwiach, a po chwili przyszedł i z niskim ukłonem oświadczył:

— Pan radca prosi!

Roman wszedł do wielkiego, jasnego pokoju, oświetlonego dwoma oknami, z meblami, krytymi czerwonym pluszem, z kozetką wygodną, nad którą wisiał portret panującego. Obcych mogłoby to gorzyć, że trzech ludzi dusi się wraz z interesantami w małym, ciemnym pokoju, ale ci, co znają się na różnicy rang, rozumieją, że taki stosunek jest naturalny i potrzebny dla powagi urzędu.

Kotyrski siedział na fotelu za wielkim biurkiem, zavalonem porządnie ułożonymi aktami i na niski ukłon Romana odpowiedział lekkim skinieniem głowy.

— A, to pan! — wskazał krzesło obok biurka — proszę... wszak kuzyn pana radcy Terlikowskiego?

— Tak jest — usiadł na krześle.

— Jakże zdrowie pana radcy?

— Zdaje się, że dobre — uśmiechnął się — wczoraj byliśmy razem.

— A tak, pamiętam. Nie odprowadził go pan do domu?

— Nie. Wstąpił do klubu.

— Szczęśliwy człowiek — westchnął radca — ci ze sądu mają święte życie, żadnej roboty, czasem posiedzi na sesji, czasem podpisze kawalek i po robocie. Nie tak, jak my, patrz pan, ile tu kawalców — zrobił ruch półkolisty tłustymi, małymi rękami — to panie praca!

Roman zdusił śmiech w sobie, gdyż właśnie radca Terlikowski mówił mu to samo o radcy dyrekcji skarbowej i rzekł:

— To prawda, panie radco.

Nastąpiła chwila milczenia, którą przerwał Kotyrski: — Z czem to pan przyszedł do mnie? bo tyle mam na głowie, że już zapomniałem.

Roman miał ochotę wstać i pożegnać uprzejmego protektora, ale wspomniawszy na brak posady, powiedział zaczerwieniony:

— Pan radca obiecał mi bilet...

— Aha, już wiem — wyprostował się w fotelu — tak, tak... bilet do dyrektora banku? Wszak tak?

Roman skinął głową, a radca mówił z godnością:

— Jako kuzynowi pana radcy Terlikowskiego mogę dać bilet polecający do dyrektora banku i spodziewam się, że pan będzie pełnił sumiennie swe obowiązki.

— Tak jest, panie radco.

— Niech się pan nie dziwi mej ostrożności, ale bo się trafiają rozmaici ludzie. Bywają tacy układni, grzeczni, wszystko obiecują, a pokaże się w końcu, że to blagier, leń, jeśli nie co gorszego. Nie mówię tego do pana, wcale nie, pan przecież kuzyn pana radcy Terlikowskiego.

Roman mienił się na twarzy, a gdy radca skończył, rzekł:

— Pan radca ma słuszość, w wyborze ludzi trzeba być bardzo ostrożnym, przekonywam się na sobie.

Radca nie zrozumiał tych słów, zapatrzony w swą powagę i położywszy krótkie ręce na brzuszku, młynkował wielkimi palcami:

— A co? Nie mówiłem! I pan taki młody, bez wpływowego stanowiska i doszedł do tego przekonania; a jaki stopień pokrewieństwa łączy pana z panem radcą Terlikowskim?

— Jest bratem ciotecznym mojej matki.

— Hm... sądziłem, że to rodzony wnuczek, ale stało się... obiecałem.

— Jeśli to panu radcy robi jakąkolwiek przykrość — wstał Roman — zrzekam się biletu.

— Cóż to jest? — podniósł niebieskawe oczy na niego i poprawił okulary — przecież panu powiedziałem, że przyrzekłem panu radcy wobec poważnych świadków i dotrzymam — otworzył szufladę, wyjął bilet i po długim namyśle zaczął z trudem pisać. Skończywszy, uśmiechnął się błogo, zaadresował kopertę, zakleił i rzekł:

— Już napisałem. Ten mój bilet odda pan dyrektorowi banku, któremu przesyłam piękne ukłony — wręczył kopertę zaklejoną Romanowi.

— Bardzo dziękuję panu radcy.

— Dotrzymałem sumiennie obietnicy, nie tak jak inni... hm... ale co wy, z Królestwa, myślicie tu robić?

— Szukamy pracy.

— To niema sensu — wzruszył ramionami — póki przyjeżdżało kilku rocznie, to ten, czy ów znalazł przytułek, ale zjechaliście gromadnie, tłumy całe, a miejsc mało, albo też wcale niema. Spowodowaliście szaloną drożynę i nam źle, a i wam nie dobrze. Jakże to się skończy?

— Nie wiem.

— Hm... to źle, zawsze trzeba myśleć o następstwach. Przyjechaliście i ceny wszystkiego podskoczyły, dyabli wiedzą, jak wysoko, potem wy wyjedziecie, a nam zostawicie drożynę.

— Gdy wyjedziemy do Królestwa, wrócą też ceny normalne — uspokajał go Roman.

— Co pan gada! — obruszył się radca — czy nie zna pan kupców? Zasmakowali raz w darcie skóry, to będą drzeć. To najgorsza klasa ludzi, subiekci i chłopcy za nich robią, a oni panoszą się z naszej pracy i potu. Posadziłbym tutaj takiego kupca i powiedz pan, co onby tu zrobił, ani be, ani me, zdechł pies.

— Jednak, panie radco — zaczął Roman.

— Tylko pan ich nie broń — mówił radca, marszcząc się — wprowadź pan ich krewny po fachu, ale ja ich dobrze znam. Tu panie — uderzył dłonią w papiery — cała ekonomia i polityka kraju, bez nas nie byłoby nic, żadnych pensji, szkół, wojska, bo na wszystko trzeba pieniędzy, a my ich dostarczamy.

— Nie wiedziałem o tem — przyznał się Roman — i pozwoli pan...

— Co mi pan może nowego powiedzieć? — wzruszył ramionami — sędownicy udają ważne figury, że wyrokuja; ci ze starostwa niby to robią politykę, ale my dostarczamy *nervus rerum* i bez nas byłoby *aus!*

Roman wstał i skłonił się. Radca, nie ruszając się z fotelu, podał mu łaskawie tłusciutką rękę, mówiąc:

— Kłaniaj się panu panu radcy i powiedz, że dotrzymałem przyrzeczenia.

Woźny bardzo usłużnie podał mu palto i z głębokim ukłonem otworzył drzwi wyjściowe.

Dopiero na ulicy odetchnął Roman po utrudzającej rozmowie z radcą Kotyrskim.

Przed nim na prawo wznosił się w promieniach słońca przepiękny Wawel, o którym marzył od dzieciństwa i takim promiennym, jasnym wyobrażał sobie, jak go dziś obaczył, stojąc u wylotu tej krętej, cichej, średniowiecznej ulicy. Zdala szedł mnich w ciemnym habicie, uderzając głuchym brukiem drewnianymi trepkami. Zdawało się Romanowi, że czarodziejską sztuką został przeniesiony w średniowieczne czasy, a zamknięte bramy, ujęte w rzeźbione ramy, wzmacniały to złudzenie chwilowe.

Gdyby był usłuchał swego upodobania, byłby poszedł na Wawel i rozkoszował się zabytkami, ale